

Drewniany Kościół Pokoju

Wolno go było budować jedynie poza murami miasta, bez wież i dzwonów. Przy budowie można było korzystać tylko z tego, co było pod ręką: z drewna, gliny, piasku i słomy. Wznoszenie musiało być zakończone w ciągu roku, a budowla pomieścić minimum 5000 ludzi.

Takim trudnym warunkom musieli sprostać świdniccy ewangelicy. W roku 1657 dokonali tego. Zbudowali bez użycia choćby jednego gwoździa czy innych elementów metalowych świątynię mieszczącą 7500 wiernych. Budowla zachwyca barokowym wnętrzem z trzema balkonami, polichromiami, rzeźbami oraz unikatowymi rozwiązaniami konstrukcyjnymi. Kościół Pokoju w Świdnicy jest uważany za największą drewnianą świątynię w świecie. Znajduje się na Światowej Liście Zabytków Kultury UNESCO.

Kościół Pokoju był jednym z etapów naszego kolejnego, koleżeńskiego spo-

tkania po latach. Przedtem bawiliśmy się w Zamku Książ. Piękna i potężna budowla, otoczona jarem porośniętym drzewami, zamienionym częściowo na tarasy. Piękna, ale i smutna ze swymi ogołoconymi z luster, obrazów i dywanów salami oraz komnatami, a także przeciekającymi rynnami... Ślady świetności pozostawione tylko naszej wyobraźni. Po tych, częściowo zachowanych posadzkach chodziła księżna Deaisy – najpiękniejsza kobieta tamtych czasów. Pełna osobistego czaru Angielka, inteligentna, podziwiana przez wszystkich, poślubiona pruskiemu, bawecnie bogatemu księciu pszczyńskiemu, Hansowi Heinrichowi von Hochbergowi... Kiedy to było... Przecież nie tak dawno, księżna zmarła na początku lat 40. ubiegłego wieku, ale dla nas to już postać z podręczników historii.

Po drodze Milickie Stawy. Ponad 7 tysięcy hektarów hodowlanych akwenów położonych w dolinie Baryczy, która stanowi ostoję 150 gatunków ptaków.

Największy tego typu zbiornik wodny w Europie. Urokliwe zwiedzanie dorózkami, zgrabnie przeciskającymi się krętymi groblami...

Na koniec Wrocław. Wielka metropolia. Miasto historyczne, rozłożyste, poprzecinane kanałami z kilkudziesięcioma mostami, zielone, pięknie odnowione. To nie zaścianek, to wielka metropolia...

I tak jak od lat, kilkadziesiąt z nas, których los kiedyś zetknął na studiach, spotkało się, aby przez kilka dni pobyc razem. Pogadać, poopowiadać, powspominać, czasem ponarzekać. Na NFZ, na ministra, na świat, na los. No i pośmiać się, zabawić i cieszyć się, że jeszcze nam się chce... I kilka myśli poświęcić tym, którzy w tym roku już przyjechać nie mogli...

Alu, a gdzie za rok?

ANDRZEJ BASZKOWSKI

PS Ewa wytknęła mi, że nie napisałem o przepysznych karpkach w hotelu w Miliczu. Dla mnie to one wcale nie były takie cudowne, bo nasi laryngolodzy, Isia i Zbyszek, musieli biedzić się nad ością, która utkwiała mi w gardle...

